

ROZDZIAŁ VII

Czechy i powrót do domu

Wykorzystując doświadczenie własne oraz uwagi naszych Polaków, poruszaliśmy się systematycznie na wschód... Po kolejnej „przejażdżce” na gapę, idąc w poszukiwaniu „noclegu” Sasza zwrócił mi uwagę na napis na jakimś starym szyldzie:

- No, popatrz ty... A to już chyba po czesku, albo po waszemu...
- Po naszemu, to na pewno nie... W takim razie jesteśmy już w Czechach...
- A granica...
- Nie żartuj...

Po napisach zorientowaliśmy się, że musimy być już chyba na terenie Czech. Do tej pory napisy zawsze były tylko po niemiecku, a teraz prócz niemieckiego były również po czesku.

Wykorzystując opanowaną formę komunikacji poruszaliśmy się według nas cały czas w dobrym kierunku... Pewnego dnia o świcie zobaczyliśmy, że jesteśmy na przedmieściach dużego miasta. Do licha, gdzie my jesteśmy i co to za miasto...? A może to już Polska...? Snuliśmy różne przypuszczenia, obserwując wyłaniające się z mroków miasto... Ku naszemu zdziwieniu, okazało się później, że tym miastem jest Praga... Do dziś jestem zdziwiony, że takie odległości udało się nam pokonać stosunkowo szybko...

Pociąg powoli zbliżał się do jakiejś małej stacji na przedmieściu. Jednak nie dojeżdżając do niej, zatrzymał się przed semaforem... Postanowiliśmy wysiąść i dalej poruszać się pieszo w kierunku wschodnim. Ulice puste, żadnego ruchu... W pewnym momencie zauważyliśmy jadący w naszym kierunku samochód z przygaszonymi światłami... Zgodnie postanowiliśmy, że nie będziemy ryzykować i będzie lepiej, jak gdzieś na chwilę się ukryjemy... Głupio byłoby po udanej ucieczce i „zaliczeniu” tylu kilometrów, wpaść w ręce gestapo, jak to już kiedyś się zdarzyło... Schowaliśmy się do jednej z bram, wilgotnej i ciemnej... Czując się niewidocznymi, spokojnie obserwowaliśmy mijający nas samochód...

Znieruchomieliśmy z przerażenia, gdy nagle posłyszeliśmy tuż za nami dziwny szelest... Błyskawicznie się odwracamy i zupełnie zaskoczeni wi-

dzimy wycelowane w nas dwie lufy... Odruchowo podnosimy ręce do góry i staramy się przeniknąć ciemności, by ustalić, z kim mamy do czynienia...

– Kim jesteście i co tu robicie o tej porze...? – odezwał się jeden z naszych prześladowców.

To dziwne, bo chociaż pytanie było zadane po niemiecku, słysząc było wyraźnie, że nie jest to Niemiec, bo „kaleczył” język potwornie... Przeleciała mi taka myśl, jeżeli są to Czesi, to może nie będzie źle...

– A wy...? Kim jesteście, że straszycie spokojnych ludzi? – powiedziałem, też po niemiecku, ale dość ostrym tonem.

– My są strażnicy... A wy, na spokojnych nie wyglądacie... Więc, powiecie prawdę, albo pójdziemy gdzie indziej... – mówił spokojnie i ostatnia groźba trochę nie pasowała do całości. Chociaż ich „lufy” nadal skierowane na nas...

– W porządku... – przeszedłem na język polski. – Wyglądacie na Czechów i na porządných ludzi... Prawda jest taka... Jesteśmy Polakami... A dokładniej, robotnikami przymusowymi pracującymi koło Drezna... Tam są teraz bombardowania i jest bardzo niebezpiecznie... Dlatego chcemy teraz powrócić do Polski...

– Polacy... No, to inna sprawa... – zauważyliśmy radosny akcent w głosie i natychmiastowe przejście na czeski.

Przekładając broń „na pas” podeszli do nas, z ciekawością przyglądając się nam i naszym ubraniom... Mieliśmy szczęście, bo trafiliśmy na dobrych ludzi, którzy nie tylko, że uwierzyli nam, to jeszcze udzielili bardzo cennych rad... Ostrzegali też, że lepiej się nie pokazywać, bo chociaż Niemcy masowo opuszczają Pragę, to przez przypadek można trafić na nich i kłopoty gotowe...

Wreszcie, wskazali nam drogę, którą powinniśmy iść, by dostać się na wschodnią stronę miasta. Powiedzieli nam jeszcze jedną, bardzo ważną rzecz... Mimo ogólnego chaosu i bałaganu, pociągi osobowe kursują tu zgodnie z rozkładem, z tą małą różnicą, że wszyscy podróżują bez biletów, bo nikt o nie nie pyta... Rozstaliśmy się, po przyjacielsku ściskając sobie dłonie...

Z ostatniej rady postanowiliśmy skorzystać natychmiast, jak tylko przedostaliśmy się na wschodnią stronę Pragi. Problemem były czeskie nazwy miejscowości na rozkładzie jazdy, nie wiedzieliśmy, który kierunek byłby dla nas najbardziej odpowiedni. W końcu zdecydowaliśmy się na Brno. Sasza przekonywał mnie, że to jest raczej na południowy wschód, niż na wschód od Pragi, ale akurat taki pociąg odchodził najwcześniej... W ten sposób dojechaliśmy do Brna...

Zaczęliśmy szukać następnej okazji... Z braku innych możliwości postanowiliśmy wykorzystać starą metodę, czyli podróż pociągiem towarowym. Wyszliśmy poza miasto i wykorzystując dogodne warunki próbowaliśmy wskoczyć do wagonu... Łapiąc się poręczy przy schodkach biegłem z po-

ciągłem... W pewnym momencie podciągnąłem się do góry... Gdy nogami znalazłem się na schodku wagonu, zauważyłem, że na jednej nodze nie mam buta... W tym momencie straciłem z oczu mojego kolegę... Sądziłem, że na pewno wskoczył do jednego z następnych wagonów. Zacząłem poszukiwania, ale niestety, nigdzie go nie było... Nie wiem, czy coś się stało w momencie wskakiwania do wagonu, czy też może jakaś inna przyczyna zaistniała, ale w tym momencie urwał się mój kontakt z Saszą... Bardzo żałowałem, bo zdążyłem się do niego przyzwyczaić i bardzo go polubiłem... Od tego czasu zostałem sam...

W pewnym momencie pociąg jechał równolegle z drogą. Ależ bałagan był na tej drodze. Wszędzie pełno ludzi z pakunkami, z wózkami, wozy konne z „betami”, samochody... Jeden wielki ludzki exodus... Nie wiedziałem, co dalej robić... Wykorzystując zwolnienie na wirażu, wyskoczyłem z wagonu. Wyszedłem na drogę i przez chwilę zastanawiałem się nad dalszym kierunkiem marszu... Uciekinierzy jadą tam, czyli ja muszę iść „pod prąd”. Nie było to wcale takie proste, tym bardziej, że miałem dwie nogi, a jeden but... Zastanawiałem się nawet nad tym, czy nie będzie lepiej, jak wyrzucę i ten drugi. W końcu doszedłem do wniosku, że zawsze to przynajmniej jedna noga ma ochronę. Pewnie z boku wyglądało to tak, jakbym był ranny w nogę i lekko „kuśtykał”.

Szedłem już dość długi czas i poczułem się zmęczony... Droga akurat prowadziła przez duży, dość gęsty las... Było cicho i spokojnie... Pomyślałem sobie, nie zaszkodzi kilka minut odpoczynku... Przeskoczyłem rów i ułożyłem się na porośniętym wysoką, starą trawą poboczu. Nie wiem, może nawet się lekko zdrzemnąłem...

Otworzyłem oczy i widzę, że zostałem otoczony przez dziwnie poubieranych ludzi z bronią... To było pierwsze, na co zwróciłem uwagę. To cywile, ale prawie każdy z nich miał jakieś elementy wyposażenia wojskowego. Czyżby partyzanci...? Przeleciało mi przez myśl... Jeżeli to czescy partyzanci, nie może być źle...

– Kto ty jesteś i gdzie idziesz...? – odezwał się cywil, pewnie dowódca oddziału.

– Jestem Polak... I idę do Polski...

– Co...? Dokąd...? – zapytał i roześmiał się głośno. – Do Polski...?

– Nie śmieję się... Idę do Polski...

Podszedł do mnie bliżej i uśmiechając się, przyglądał się z dużym zainteresowaniem mnie i mojemu ubiorowi... W pewnym momencie zatrzymał wzrok na moim jednym bucie i drugiej nodze zawiniętej w onuce.

– Jesteś ranny...?

– Nie... Zgubiłem tylko jeden but...

- Jak to...? Zgubiłeś buta...? – pytał, wyraźnie rozbawiony.
- Zgubiłem... Wskakiwałem w biegu do pociągu i mi spadł...
- Wskakiwałeś do pociągu...? – zapytał, poważniejąc.

Pokrótkie opowiedziałem im moje losy, zatajając to, że jestem uciekinierem z Leitmeritz... Uważałem, że będzie bezpieczniej podać wersję, którą podawaliśmy strażnikom w Pradze. To znaczy, że jestem uciekinierem z robót przymusowych w okolicach Drezna... Po wysłuchaniu całej opowieści, odsunęli się trochę ode mnie i przez chwilę naradzali się nad czymś, przyciszonymi głosami. Wreszcie, dowódca podszedł do mnie i oświadczył krótko:

- Idziesz z nami...
- Gdzie mam iść z wami...?
- Nieważne... Zbieraj się... I bez dyskusji...

Szliśmy kilka godzin... Mijaliśmy różne leśne wertepy i ciągle szliśmy pod górę... Wreszcie doszliśmy do jakiejś wioski w górach, gdzie zamknięto mnie w wykopanej w ziemi „ziemiance”... Jak się później okazało, wzięli mnie za dezertera z armii Własowa¹, z którą mieli kilka potyczek w tym rejonie...

¹ Rosyjska Armia Wyzwoleńcza (ROA, własowcy), to formacja utworzona przez Niemców w czasie II wojny światowej. Służyli w niej głównie ochotnicy spośród wziętych do niewoli żołnierzy radzieckich. Ich dowódcą był Andriej Andriejewicz Własow (1900–1946), generał radziecki, który Rosyjską Armię Wyzwoleńczą założył w niewoli hitlerowskiej. Własow swoją karierę wojskową rozpoczął w Armii Czerwonej, podczas rosyjskiej wojny domowej w latach 1917–1922, którą zakończył jako dowódca kompanii. Do partii komunistycznej wstąpił w 1930. Od 1938 na misji wojskowej w Chinach. W 1941, jako dowódca 4. Korpusu Zmechanizowanego, bronił Lwowa; jako dowódca 37. Armii brał udział w walkach pod Kijowem i obronie Moskwy. W styczniu 1942 awansowany do stopnia generała-porucznika i odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru. Objął dowództwo 2. Armii Uderzeniowej Frontu Wołochowskiego, która miała pójść z odsieczą oblężonemu Leningradowi. Okrążony przez Niemców, po dwutygodniowej samotnej tułaczce, dostał się do niewoli (12 czerwca 1942). Osadzony w obozie w Winnicy zrehabilitował list otwarty do władz niemieckich, w którym skrytykował radzieckie państwo i przekonywał o konieczności sformowania rosyjskiej armii narodowej dla zniszczenia stalinizmu. Niemcy wykorzystali Własowa w akcji nawoływania żołnierzy radzieckich do dezercji, ale nie podjęli rozmów o ewentualnych jednostkach wojskowych. We wrześniu 1942 Własow przeniesiony został do berlińskiego Centrum Propagandy Wehrmachtu, gdzie zetknął się z innymi byłymi oficerami Armii Czerwonej: Mielecikiem i Zykowem. Powstała tzw. *Deklaracja smoleńska*, która głosiła konieczność zbudowania nowej Rosji. Sygnatariusze deklaracji stworzyli Rosyjski Ruch Wyzwoleńczy (ROD). Propagandziści hitlerowscy dwukrotnie wysyłali Własowa na okupowane tereny rosyjskie, gdzie usiłował on przekonać do swojej idei Rosjan. Dopiero na początku 1945 udało się namówić Niemców na sformowanie rosyjskich oddziałów. Powstały oddziały Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej (ROA), w skład której weszła 600. Dywizja Grenadierów Pancernych. W maju 1945 dywizję przerzucono do Czech. Chcąc przejść do obozu zwycięzców, Rosjanie w czasie powstania praskiego, zaatakowali pozycje niemieckie. Wobec zbliżającej się Armii Czerwonej oddziały ROA przebiły się do strefy amerykańskiej. Na podstawie ustaleń jałtańskich Amerykanie i Anglicy wydali Rosjanom gen. Własowa i jego żołnierzy. W rękach radzieckich Własow znalazł się już 12 maja 1945. Został rozstrzelany w 1946.

Na przesłuchaniu ciągle powtarzałem im, że ja nie jestem żadnym dezerterem, a tu znalazłem się, bo uciekłem z przymusowych robót w Niemczech, z okolic Drezna... Jestem Polakiem i chcę dostać się do Polski... Nie mogli zrozumieć, jak wobec tego znalazłem się koło Brna... W czasie przesłuchiwania, nie mogę powiedzieć, byli serdeczni, nakarmili, dali pić, dostałem też buty, ale na wszelki wypadek zamykali z powrotem do ziemianki... Następnego dnia znów wszystko od początku... A ja twardo, że nazywam się tak i tak, że uciekłem z robót przymusowych, że teraz chcę do Polski... A gdzie masz jakieś dokumenty...? Niestety, nie mam... Opowiadałem przesłuchującemu, że między innymi siedziałem w więzieniu we Wrocławiu i tam spotkałem Zubra, który był partyzantem czeskim i był za to aresztowany. Wtedy opowiedziałem im wszystko o tym, co faktycznie przeżyłem, gdzie byłem i jak uciekłem z ostatniego obozu z Saszą... I że, nie wiem, co się obecnie dzieje z Saszą, bo straciłem z nim kontakt...

Opowiadając o Zubrze, zauważyłem, że to bardzo ich interesuje... Zaczęli się wypytywać, jak on wyglądał i co jeszcze o nim wiem... Odtworzyłem im wszystko, czego się dowiedziałem z opowiadań Zubra... Przesłuchujący przez cały czas bardzo mnie obserwował... To się działo może na 3–4 dzień po osadzeniu w tej „ziemiance”... Następnego dnia, gdy tylko wszedłem do izby, w której byłem przesłuchiwany, zaskoczył mnie już sam wygląd izby... Zamiast stołu, na którym zawsze leżały jakieś porozrzucane papiery, był stół nakryty czystym obrusem i kubki z gorącym, parującym mlekiem.

– Siadaj... – powiedział prowadzący przesłuchanie, wskazując miejsce przy stole.

Siadając, zastanawiałem się, co może oznaczać ta zmiana dekoracji.

– Na początek, muszę cię przeprosić... Nie wierzyliśmy ci, bo mieliśmy tu kilka przykładów, że Własowcy czując, jak paskudny czeka ich koniec za służbę Niemcom, zaczęli masowo dezerterować. A musisz wiedzieć, że prawie każdy z nich ma coś na sumieniu... Myśląc, że jesteś jednym z nich, chcieliśmy ustalić, co konkretnie ty przeskrobałeś... Dopiero twoja opowieść o Zubrze postawiła cię w innym świetle. Musieliśmy to jednak sprawdzić... Okazało się, nie wnikając w szczegóły, że wszystko, o czym mówiłeś było prawdą... Dlatego, przepraszamy cię i od dziś jesteś wolny...

– Wolny...? Więc mogę już jechać do Polski...?

– Hm... To nie takie proste... Zbliża się front... I będzie lepiej, jak front spotka cię tu... U nas...

– Czyli... Nie jestem wolny...

– Jesteś... Ale proponuję ci, byś pomagając nam, zaczekał aż „przewali się” ta nawałnica... Po prostu, Rosjan możesz nie zdążyć przekonać, że jesteś swój...

Zacząłem pomagać im w typowo gospodarczych pracach, jak obieranie ziemniaków, mycie naczyń itp. Prawdę mówiąc, trochę się nudziłem, ale

przy okazji nabierałem sił w tym czystym, górskim powietrzu. Sił, które były znacznie nadwątlone warunkami ostatnich lat. Coraz częściej było słychać odgłosy frontu. Pewnego popołudnia było słychać głośnie detonacje i to detonacje coraz bliższe... Wyszedłem przed chatę, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie „przewala się” właśnie w tej chwili front, jak to powiedział dowódca. Wtedy zza rogu domu wybiegł dowódca, poprzepasywany taśmami z amunicją.

– Zbieraj się... Powiadom gospodarzy i kogo tam zdążycie... Tu idą Niemcy...

– Niemcy...? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Szybko... Rób co powiedziałem... Ktoś doniósł, że tu jesteśmy...

Ledwie przekazałem informację gospodarzom, gdy na wzgórzu pokazały się 3, a może 4 czołgi niemieckie. Zaczęły strzelać w kierunku wioski pociskami zapalającymi... W ciągu kilku minut cała wioska stanęła w płomieniach... To było okropne... Cała wioska... Co byli winni ci biedni górale, że akurat u nich rozlokowali się partyzanci?... Chociaż, patrząc na ten problem z punktu wojkowego, Niemcy woleli nie mieć na zapleczu dodatkowego „wroga”, jakim na pewno byli dla nich partyzanci.

Uciekaliśmy wszyscy... Uciekali partyzanci i cała ludność cywilna tej wioski... Po paru godzinach marszu, doszliśmy do jakiejś szosy. Partyzanci podczołgali się zaroślami w pobliże drogi, by rozpoznać możliwości bezpiecznego jej przekroczenia... Ze zdziwieniem zauważyli, że poboczem drogi idą jacyś inaczej ubrani żołnierze... Okazało się, że były to już oddziały wojsk radzieckich². W ten sposób znalazłem się u „swoich”...

Po początkowym radosnym powitaniu oswobodzicieli, przyszły trudniejsze momenty... Zainteresowała się naszą grupą żandarmeria wojskowa i padło ze strony ich „kamandira” niegroźne pytanie:

– Czy w tej grupie wszyscy się znacie...? Czy jest tu ktoś obcy...?

„Dreszczyk” przeleciał mi po plecach... Wszyscy zaczęli się rozglądać wkoło i w końcu wzrok ich spoczął na mnie...

– Ja tu jestem obcy... Jestem Polakiem i jestem byłym więźniem z Leitmeritz...

– O, Poolak... – powiedział, przeciągając dziwnie słowo. – A dokumenty jakieś masz...?

– Nie mam... Bo ja stamtąd uciekłem... – powiedziałem, z lekkim zdenerwowaniem w głosie.

² 18 kwietnia 1945 r. do granic Czechosłowacji dotarła armia amerykańska, trzy dni później pertraktowano z ZSRR w sprawie udziałów w wyzwoleniu kraju. 1 maja wybuchło powstanie w Pradze. Mimo apeli praskiego radia Amerykanie ani Rosjanie nie kwapili się z wyzwoleniem miasta. Powstańcy porozumieli się z wojskami niemieckimi, że nie będą im utrudniać wycofywania się do strefy amerykańskiej. 8 maja rokowania Amerykanów z Czeską Radą Narodową o pomoc dla powstańców nie przyniosły skutku, rząd zwrócił się więc do Związku Radzieckiego. 9 maja 1945 r. wojska sowieckie weszły do Pragi, entuzjastycznie witane przez ludność.

Wtedy do „kamandira” podszedł partyzancki dowódca, przedstawił się, a potem coś mu długo tłumaczył, ścisząc głos. Wreszcie „kamandir” kiwnął ze zrozumieniem głową i odezwał się:

– No, tak... Musimy jednak to wszystko sprawdzić... Na razie pójdiesz z nami...

Cóż było robić... I tak protesty nie odniosłyby żadnego skutku... Okazało się, że takich „do wyjaśnienia” było ponad 100 osób, których na czas śledztwa zebrano razem w tzw. punkcie zbornym, w dość dobrze chronionej przez „czerwonoarmistów” stodole. Wszyscy mieli jakieś dokumenty, a ja nic... To wzbudzało podejrzenia... Słyszałem, jak „kamandir” mówił do jednego z żołnierzy...

– To może być „własowiec”... Nie dajcie się wyprowadzić w pole...

Nie trzeba było zbyt długo czekać na konsekwencje... Po jakimś czasie, właśnie ten żołnierz podszedł do mnie... „Zmierzył” mnie wzrokiem od góry do dołu i rzucił krótkie:

– Jesteście aresztowani... Chodźcie ze mną... Ostrzegam, że w razie podejrzanых ruchów, będę strzelał bez ostrzeżenia... – zakończył, wyjmując bardzo duży pistolet z kabury.

Tym razem zostałem zamknięty w jakiejś starej, od dawna niewykorzystywanej owczarni... Zaletą tego nowego pomieszczenia było to, że wszędzie było pełno suchego obornika, słomy i siana... Mogłem się rozłożyć i odpoczywać, wierząc, że i z tych niezbyt sprzyjających okoliczności musi się znaleźć jakieś wyjście... Prócz mnie było tu dość dużo Ukraińców i Rosjan, a także niewielka liczba Czechów.

Po paru dniach doszło do segregacji... Całość dzielono na dwie grupy... Do pierwszej kwalifikowali Rosjan i Ukraińców, zaś do drugiej Czechów i jak się okazało kilku Polaków. Dziwne, ale zostałem zakwalifikowany do grupy pierwszej... Znow zapaliło mi się w głowie „czerwone światełko”... Nadal biorą mnie za „własowca”, pomyślałem. Powoli zacząłem przesuwając się w kierunku drugiej grupy, uważnie obserwując „czerwonoarmistów”... W pewnym momencie, udając, że wiążę sobie buty, schylony, „prześlizgnąłem” się do grupy Polaków i Czechów. Prawdę mówiąc, w tym momencie miałem więcej szczęścia niż rozumu... Dziś mogę powiedzieć z dużym prawdopodobieństwem, że gdybym był został w grupie Rosjan i Ukraińców, „zahaczyłbym” pewnie jeszcze o Syberię... Najdziwniejsze, że już przy następnym sprawdzaniu ewidencji, podałem swoje nazwisko i w skrócie przebieg obozowy. Wszystko zostało wpisane do ewidencji bez żadnych pytań, wątpliwości, dochodzeń itp. Uwierzili mi i powiedzieli, że będę wysłany do Polski najbliższym transportem. Nareszcie, koniec śledztwa, pytań i niepewności o dalszy los... Pozostaje teraz tylko czekać na ten „najbliższy” transport.

Wiadomość o zakończeniu wojny przyjęliśmy z radością, którą trudno nawet dziś opisać... Kończyły się lata udręki i poniewierki... A my tu tkwimy gdzieś „w połowie drogi” do Polski i do rodziny, z którą przez tyle lat nie widziałem się... Czekamy i czekamy... Czas się dłuży niemiłosiernie... Wreszcie, kilka dni po 10 maja jest informacja, że jest organizowany zbiorowy transport przez Budapeszt... Dlaczego akurat przez Węgry i przez Budapeszt, tego nie wiem do dziś. Najprawdopodobniej innej komunikacji nie było i musieliśmy jechać drogą okrężną.

Ostatecznie, chyba po dwóch, może trzech dniach znalazłem się w punkcie repatriacyjnym koło Rzeszowa. Tam przekraczałem granicę... Dostałem dowód przejścia granicy, tzw. kartę repatriacyjną. Karta ta upoważniała mnie do podróżowania bez biletu wszystkimi środkami lokomocji do domu. Tak też i zrobiłem... Przyjechałem do Rzeszowa, a potem przez Kraków w kierunku Poznania...³ Byłem wyczerpany fizycznie i psychicznie, ale radość z tego, że nareszcie byłem wolny, w swojej ojczyźnie, że za chwilę, po tylu latach, zobaczę moich najbliższych dodawała mi skrzydeł...

Do Poznania dojechałem wczesnym rankiem... By jechać dalej do Gniezna trzeba było przesiąść się na inny pociąg. Na peronie spotkałem dobrą znajomą moich rodziców, panią Budnerową. Pytałem się, czy może wie coś na temat moich najbliższych. Okazało się, że moja mama wróciła z siostrą do domu na gospodarstwo, czują się dobrze, ale martwią się o swoich chłopców... To znaczy o mnie i mojego brata Alfonsa. Do domu dotarłem gdzieś około godziny dwunastej, trzynastej... Nie chciałem iść bezpośrednio do domu, ponieważ pani Budnerowa powiedziała mi, że moja matka bardzo rozpacza, bo nie miała ode mnie żadnej wieści od czasu ucieczki z Siegburga. Była przekonana, że ja najprawdopodobniej nie żyję... Pewną małą iskierkę nadziei dała jej kartka, którą otrzymała w 1945 roku w Wielkanoc...

A z tą kartką to było tak... W grudniu 1944 roku z obozu w Gross-Rosen wychodził na wolność więźni z Poznania, niejaki Tajchert... To nie był mój bliski znajomy, ale był on kolegą Olgierda Schaefera, z którym razem przechodziliśmy doświadczenia pseudomedyczne. Tajchert został zwolniony, ponieważ podpisał *Volksliste*⁴. Wiedząc o tym, że będzie zwolniony, poprosiłem

³ Patrz zał. nr 15 – Zaświadczenie Państwowego Urzędu Repatriacyjnego.

⁴ *Volkslista* (niem. *Deutsche Volksliste*) – niemiecka lista narodowościowa wprowadzona zarządzeniem z 4 marca 1941 roku. Była przejawem rasistowskiej polityki III Rzeszy. Wprowadzona została w celu podziału ludności na zajętych terenach Polski – zarówno na terenie Generalnego Gubernatorstwa, jak i na terenach włączonych w granice administracyjne Rzeszy. Szczególnym naciskom poddawani byli mieszkańcy Śląska, Wielkopolski, Pomorza oraz Kaszub. Na tych terenach stosowano całą gamę środków przymusu: od nacisków administracyjnych (groźenie eksmisją z mieszkania, odebrania kartek żywnościowych, przeniesienie do gorszej pracy) poprzez represje policyjne (uporczywe wzywanie na policję, bicie) kończąc na wywożeniu rodzin (starych rodziców,

go, by przesłał moim rodzicom małą karteczkę, którą włożę mu do jego worka z depozytem. Właściwie Tajchert nie posiadał żadnego depozytu, ale było przyjęte, że każdy kto opuszczał legalnie obóz otrzymywał odpowiednio skompletowany depozyt. Przede wszystkim to, co potrzebne było do ubrania. To jasne, że wyboru dokonywało się z rzeczy po więźniach, których już nie było wśród żywych... Prosiłem, by tę karteczkę przekazał naszym znajomym państwu Piechowiakom, którzy mieszkali przy ulicy Głogowskiej w Poznaniu. Byli to znajomi rodziców z czasów przedwojennych, gdyż podobnie jak mój ojciec pasjonowali się polowaniami. I tak się stało... Tajchert kartkę przekazał i jak się później okazało dotarła do mojej mamy w samą Wielkanoc... Nie muszę przekonywać, jak bardzo się z niej ucieszyła...

Bąłem się, że moja matka może doznać zbyt wielkiego wstrząsu, gdy tak niespodziewanie wejdę do domu... Zaszedłem więc najpierw do naszych sąsiadów, państwa Kędziorów. Po przywitaniu, poprosiłem, by nie wtajemniczając, zaprosili matkę do siebie na herbatę. I tam doszło do spotkania... Chwila była naprawdę wzruszająca dla wszystkich... Płakaliśmy, jak dzieci... Ale to były też łzy radości i szczęścia, że pomimo tylu przeciwności losu udało się nam przeżyć i oto jesteśmy znów razem... Nadal nie miałem pojęcia, że w domu oczekuje na mnie moja siostra Wanda... Była w domu i odpoczywała w łóżku, bo akurat była w ciąży i spodziewała się rozwiązania. Czuwała przy niej akuszerka, pani Urbańska z Kiszkowa... Pod wpływem wrażenia, jakiego doznała, gdy mnie zobaczyła w drzwiach mieszkania, zaczęła rodzić... I to powitanie dla niej miało podwójne znaczenie... Powitała mnie i za chwilę swoją pierwszorodną córkę Gabrysię...

Radość była ogromna... Skończyła się niepewność moich najbliższych o mnie, tym bardziej, że mieli już też wiadomość od mojego starszego brata Alfonsa, który spędził całą wojnę w obozach koncentracyjnych... Wiedzieli, że żyje i ostatnio przebywał w obozie w Mauthausen. Wiedzieli, ponieważ on z tego obozu mógł pisać listy... Raz na dwa czy trzy tygodnie przychodziła od niego wiadomość. Ze względu na stan zdrowia nie mógł przyjechać od razu do domu, bo musiał najpierw odbyć leczenie szpitalne. Do domu powrócił dwa miesiące po mnie...

K o n i e c

żon, dzieci i siostr) do obozów koncentracyjnych lub przesiedleńczych i warunkowaniu ich zwolnienia podpisaniem niemieckiej listy narodowościowej. Również Kościół katolicki, w tym biskup śląski Stanisław Adamski, zalecał Ślązakom podpisywanie niemieckiej listy narodowościowej, aby ochronić ich przed represjami. Odmienne sytuacja kształtowała się na terenie Generalnego Gubernatorstwa, gdzie przypadki podpisania volkslisty były nieliczne, a ci, którzy ją podpisali, otoczeni byli ostracyzmem społeczeństwa. Ocenia się, że podpisało ją łącznie ok. 2 mln obywateli polskich. Tworzona była do końca marca 1942 roku.